

Kamieniczka niewysoka, w bramie tarasującej przejście skrzyżnie z powiatowanymi zwierzętami; w otwartych drzwiach, jak w przedsiwniku piekiele, dynda na hakach jeszcze dymiące mięswo; rozglądam się bezradnie wśród tej makabreski i dostrzegam wąskie, strome schodki, które z rzeźniczego hadesu prowadzą wreszcie do miejsc zamieszkałych przez ziemian.

To właśnie tam, w użyczonej gościnie lokalu, obraduje Prezydium MRN, na zwykłym roboczym posiedzeniu. Zmuszeni opuścić Ratusz, w którym rozkopano salki w poszukiwaniu polichromii, przenieśli się na tę radę byle gdzie, słusznie przewidując, że w końcu nie otczenie decyduje o wynikach posiedzeń. A posiedzenie ważne, bo rozpatrywali na nim wykonanie budżetu za I półrocze 1965 r.

Bardzo różnie zresztą układają się te wpływy i wydatki, na ogół jednak zgodnie z planem, poza paru jaskrawymi wykroczeniami niektórych instytucji, poza ogromnym ponadplanowym (80 proc.) wpływem z rzeźni miejskich, poza śmiesznie małym, bo jeden procent zaledwie wynoszącym wpływem z podatków dochodowych i obrotowych, poza 33 proc. zaletgosciami za czynsze lokalowe, które podsuwają natychmiast radnym prosty wniosek podyskutowania w przyszłości na temat ich wysokości. Zgodnie z planem postępują tylko właściciele psów, bo do półroczu wykonali go ni mniej ni więcej tylko w 50 proc.! Pieski są zresztą na tej naradzie tematem wracającym jak bumerang; coraz szerzej rozwieram oczy, kiedy słyszę kategorię wniosek jednego z uczestników posiedzenia, że pieski trzeba strzelać, że nie zaszkodziłoby dla odstraszania, dla przykładu, nie patrząc czy piesek i jaki piesek, przynajmniej z jednym rozprawić się w sposób ostateczny. „Problem” brzmi nieco makabrycznie przez fakt nazywania czworonogów stale i uporczywie łagodnym spieszczaniem — pieski.

Później wyjaśnia się, czym biedactwa zawinili, choć niczym nie rozgrzesza ta wina owej kategorię propozycji, rzuconej ot tak, w przerażającej bezwzględności dla czworonogów stworzeń. I mówi się później zły jak pies...

Otóż rzecz wzięła początek z uchwały o upiększeniu miasta na Dni Folkloru. Ze skromniutek dochodów wydano z wyraźnym trudem na ten cel 40 tys. złotych, zasiewając parę rabatek przy głównej arterii Biecza ozdobnymi roślinkami. Wydatek spędza sen z oczu ojców miasta, bo odbył się kosztem wielu innych zaplanowanych potrzeb, a pieski biegają wesoło i obgryzają pokrzywkę, po 6 zł sztuka. Rozumieć rozgoryczenie łatwo, ale w imieniu piesków bieckich protestuję przeciw strzeleniu do nich dla ratowania roślin. Pokrzywka i tak zwiędnie, zresztą problematyczny to dla

wielu wydatek u schyłku lata: ktoś nawet poddał w wątpliwość celowość tego pomysłu. Kto wie może i miał rację?

Doraźne upiększenie miasta kwiatkiem, miasta, które straszy obdartymi tynkami, dziurawym brukiem, brakiem nawierzchni ulic, paskudnym oświetleniem, co do którego powątpiewa się nawet, czy nie jest identyczne z tym sprzed czterechset lat, niewiele może dać efektów. Wierzę, że działa tu ambicja, chęć poka-

bloki mieszkalne, trzeci, na który była dokumentacja i rzekomo mieścił się w planie inwestycyjnym, nieoczekiwanie, w trakcie rozpoczęcia budowy, z planu wypadł.

Do dziś nie wiadomo, co to „wypadnięcie” spowodowało; może oszczędność, która w tym wypadku przypomina znane skąpstwo wobec ubogich krewnych. Wiąże się w tej chwili nadzieje w Bieczu na powstanie spółdzielni mieszkaniowej, która liczy do tej pory 6 członków; oby

Zgadamy się oboje, że piękna to ści, którzy tu mają zjechać, brak urządzeń sanitarnych, jedyna restauracja III kategorii jest w stanie pomieścić około 200 osób (usuając uprzednio bieckich młodzieńców, którzy nota bene zepsuli mi obiad łączną made in Biecz), a rozbabrany stadion, na którym gros imprez ma znaleźć swoje usytuowanie, wymagałby co najmniej miesięcznej pracy 30 robotników, by mógł nie grzeszyć brzydota i nieporządkiem.

W sumie najważniejszy mankament organizacyjny leży w niesamowicie krótkim okresie, przeznaczonym na przygotowanie miasta do tej pożytecznej imprezy.

Osobiście wierzę w jej przyszłe powodzenie, imponuję mi samym pomysłem, ale przestrasza beztroską wiarą w możliwości samych gospodarzy miasta. Pewnie, że będą robili wszystko, aby się nie powstydzili, pewno, że dopomoże im naturalna uroda miasta, które może olśnić cudzoziemców, ale czy uda im się skryć rumieniec zażenowania za braki, niemożliwe do usunięcia w ciągu 3 miesięcy przygotowań — tego już nie jestem pewna.

Pocieszam siebie i ich tym tylko, że z próżności, poza cudotwórcami, nikomu nie udało się nalać. A na jesieni obiecuję powrót do Biecza, by przypomnieć, później komu trzeba, o przyszłorocznych Dniach Folkloru Podkarpacia.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Biecza dzień powszedni

zania go możliwie najładniejszym, ale to jest po trosze sprzątanie środka pokoju, podczas gdy meble nieodkurzone, pajęczyny na suficie i brud pod kanapą.

Rozpisałam się o kwiatkach pokrzywkach dlatego, że jedyna to inwestycja, którą uchwalono w związku ze zbliżającymi się wrześniowymi Dniami Folkloru. Jedyna, z trudem wyłuskana z miejskiego mieszka — nieco rozpaczliwym odzewem brzmiała na gromkie wołanie powiatu i województwa, że do Dni Biecza musi być przygotowany, wyczyszczony, wypiękniący. Osobiście wydaje mi się takie wołanie, za którym nie idzie w parze rozeznanie finansowe oraz poparcie, nieco demagogiczne i zupełnie nieładne. Jest przecież rzeczą oczywistą, że Biecza nie stać w ciągu dwóch lub trzech miesięcy na gwałtowną kosmetykę i likwidację starych niedociągnięć. Abstrahując od sum, wyłożonych z budżetów centralnych na jego zabytki, reszta dzieje się w nim na zasadzie szeregu innych podupadłych miasteczek, gdzie łatanie dziur budżetowych wymaga karkołomnych wysiłków.

Czterotysięczne miasto, w którym problem mieszkaniowy jest jednym z najbardziej palących, skłania urzędników wydziału kwaterunkowego do rozpatrywania co roku tych samych podań o przydział mieszkania i do adnotacji: przydzielili się w najbliższej kolejności, ale mieszkań brak. I mówi mi sam przewodniczący MRN, że czeka się tylko na opuszczenie mieszkań przez nowobogaczków, co własne domy pobudują i na kogoś, kto ten ziemski padoł opuści, zwalniając tym samym doczesne pomieszczenie. Zawstydzony, zaraz dodaje, że nieładnie tak mówić... Czy prawda jednak może być ładna lub nieładna?

Wybudowało się w Bieczu od zakończenia działań wojennych dwa

zbyt długo nie przyszło czekać na dokończenie koniecznej do kompletu następnej czwórki.

Miałoby się ochotę przypomnieć, że oprócz zabytków, pieczolowicie dziś rekonstruowanych, żyją w Bieczu pełni sentymentu dla nich współcześni, którzy na strychach i w suterenach mogą ów sentyment do ruin łatwo stracić.

Toteż uciekają z Biecza. Gimnazjum bieckie corocznie przysparza Polsce absolwentów, którzy wędrują poza rodzinne miasto szukać karier w świecie. Tym bardziej że panuje przekonanie, iż łatwiej znaleźć pracę w pobliskich Gorlicach, Jasle, czy Gliniku Mariampolskim niż w macierzystych zakładach — „Kasztelanca” i „Ogniwie”. Tu bowiem, dziwnym porządkiem rzeczy, obsiedli stಾನowiska ci z Jasla, Gorlic czy Glinika...

Z tej wędrowki ludów przewodniczący MRN wyciąga zupełnie prawidłowy i bardzo z polską brzmiały wniosek, że „swój zawsze jest gorzej widziany od obcego”!

By powrócić do tematu, który mnie ścignął w głąb pejzażu rodzinnego, jakim pod względem urody jest Podkarpacie, do pięknej, choć nazbyt szybko i pochopnie przygotowanej imprezy Dni Folkloru, wędruję i gawędzę z miłośnikiem Biecza, kierownikiem bieckiego muzeum, od lat tu osiadłym dr Tadeuszem Ślawnkim. Z przyjemną satysfakcją oznajmiam ten tytuł naukowy po raz pierwszy, bo Ślawnski obronił pracę, zresztą związaną integralnie z dawnym Bieczem, dopiero przed 3 miesiącami. Nieobce zresztą to nazwisko tym wszystkim, którzy bodaj otarli się o bieckie problemy; miasto zawdzięcza zapalonemu historykowi i jego publikacjom wiele; zrewanżowało mu się za to choć w części zaszczytną funkcją zastępcy przewodniczącego MRN. Wypadałoby jeszcze pomyśleć i o tym, że dr Ślawnski, mimo iż oficjalnie i etatowo kieruje bieckim muzeum od 3 lat, co najmniej od 10 gromadzi do niego zbiory i od tyłu był społecznie jego dobrym duchem, mądrym opiekunem. Te wszystkie lata, które poświęcił muzeum, przyniosłyby mu w innej placówce przynajmniej tytuł adiunkta, z którym, poza ambicjami naukowymi, wiąże się przecież wcale niebagatelna sprawa warunków finansowych.

buszy w asyście oryginalnych kapel ludowych zsynchronizują się w swym autentycznym pięknie z niepowtarzalnym urokiem miasta. Ale... Tych „ale” jest dużo: po pierwsze i najważniejsze Biecz na tej imprezie, poza nową porcją sławy, realiów żadnych nie zyska. Brak w nim zaplecza hotelowego dla orbisowskich go-



Jak pies z kotem. Fot. M. KOPEC

WIDNOKRĄG

opowiada

„MONIKA” JAROSŁAW: Nadesłane wiersze również przeczytaliśmy „od deski do deski” i niestety nie dostrzegliśmy się w nich żadnych w rtości artystycznych. Na razie nie warto sobie głowy zaprzątać twórczością literacką, lecz kończyć

spokojnie szkołę. Może w innej dziedzinie będzie Pani miała więcej do powiedzenia.

OB. H. G. — LEŻAJSK: Z wiersza „Rozwalone domy” nie skorzystamy. Jeszcze trzeba dość dużo pracować nad warszatem, nad formą...

OB. T. Z. — RZESZÓW: Niestety nie skorzystamy. Utwory mówią o sprawach tak oczywistych, tak powszechnie znanych, że aż banalnych. I mówią w sposób deklaracyjny i trochę prymitywny. To raczej jakieś wierszowane gawędy a nie utwory poetyckie.

pienie do szafy, zdjęcie, na którym zatrzymał czas, czeresnie i trawy, lot wiatru nad drogą i kroki dziewczyny.

Problem trzeba oświetlić

Najwyższy czas, żebyśmy sobie pewne sprawy wyjaśnili, moja droga, powie mąż, rzeczywistości trzeba spojrzeć w oczy. Stowem, każdy problem trzeba oświetlić. Bezlitośnie. Tylko tak można to rozstrzygnąć. Sprawnie, niesentymentalnie, obiektywnie i radykalnie. Zamazywanie konturów to technizm. A zatem rozjeździemy się, prawda? Och, nie próbuj wpłynąć na mnie czułością, westchnieniami i wyznania. Już od dłuższego czasu nie potrafimy się porozumieć. I ja, i ty — mówimy innym językiem. Widzisz. Problem trzeba oświetlić. Bezlitośnie.

Tak. Problem trzeba oświetlić, powie cicha żona. I zgśnie.

Czemu nie?

Franenki markiz Lafayette (to bardzo stary ród, moja mała) miał w herbie hasło: Czemu nie?

Uparcie mleczala, składala na murmurującym kawiarnianym stoliku papierową serwetkę.

Te ogromną filozofię życiową zrozumiesz, dziewczyno, jak trochę podrosłaś. Wtedy będziesz wiedziała, że człowiek żałuje jedynie tego, czego nie zrobił. Ja to wiem. Ale czy młodszy zrozumie, co mówi mu starszy? Każdy chce być głupi po swojemu.

Z serwetki zrobiła się lódka.

A więc?

Lódka zmieniła się w różę.

Zrezygnujmy z tego, przewołał kelnera.

Dla mała kiosk, dla panienci lemoniada.

Nieistawo alkohola nie sprzedajemy, powiedział kelner.

Sam

Chcę być sam, oświadczył żonie. Musisz mnie zrozumieć. Tu jesteś ty, tu są dzieci, stale tu ktoś jest. Życie nie do znie-

sienia. Chcę być sam. Przekonasz się, że sam sobie wystarczy. Nie potrzebuję nikogo.

Przeprowadził się.

Stworzę sobie samotność, samotność doskonałą, pomyślał z ulgą, kiedy zamknął za sobą drzwi nowego mieszkania.

Stworzył ją sobie.

Właśnie — stworzył ją sobie.

I zatrzymał.

Nieziemnie.

Każdego ranka schodził na dół przypomnieć dozorczyńi, aby nie zapomniata, że tu nie bywa, gdyby ktoś o niego pytał.

O dziesiątej odwiedzał sąsiadów w sprawie poczty, która przychodziła na ich nazwisko, ażeby jego adres nie został ujawniony.

O dwunastej chłopiec dozorczyńi przynosił mu obiad, ażeby nie musiał iść między ludzi do restauracji.

Po obiedzie czekał, kiedy mu kobieta z sutereny krzyknie, że może iść, będzie w ogrodzie całkiem sam.

Przechadzał się po ogrodzie i myślał z zadowoleniem.

Jestem sam. Nikogo mi nie trzeba w tej szczęśliwej samotności.

To wspaniałe.

Ślepa ulica

Dlaczego ta ulica jest ślepa?

Bo nie widzi.

Czego nie widzi?

Światła.

A inne ulice widzą świat?

Tak.

Dlaczego?

Ponieważ obydwo ma końcami dotykają innych ulic.

To inne ulice są światłem?

Jeszcze nie, ale stykają się z dalszymi ulicami i w ten sposób wszystkie ulice i wszystkie drogi są zespolone. Opasują świat, wiesz.

Widzą. Nie są ślepe. Kiedy nie ma styku, to znaczy, że koniec. Tak już jest.

Miłość

Chodziła po ludziach i płakała.

Mój mąż pije. Kocham go. Pijaństwo go zniszczy. Nie mogę na to patrzeć. Człowiek, którego kocham, ginie w moich oczach.

Biedna kobieta, mówili.

Taka nieszczęśliwa.

Jakże go uwielbia.

Przestał pić.

Chodziła po ludziach i płakała.

Mój mąż tak się zmienił. To go zniszczy. Kocham go. Nie mogę na to patrzeć. Człowiek, którego kocham, ginie w moich oczach.

Biedna kobieta, mówili.

Romantyka

Lewy reflektor jest zbyt silny, stwierdził.

Dziewczyna obok niego nie usłyszała. Miała usta otwarte, tak była przejęta tym, co działo się na scenie. Spójrza na przekątną, a zobaczysz, dlaczego światło nie gra.

Cicho! Syknał ktoś za plecami.

Dziewczyna i tym razem nie usłyszała. Obchodzili ją w tej chwili wyłącznie losy bohaterów.

Gdy wracali do domu, powiedział: Oddychaj głębiej, te ogrody pachną upajająco, a księżyc jest taki świetlisty. Wszystko tu jest tajemnicze i wzruszające...

Kiedy wreszcie naprawią ten chodnik, powiedziała dziewczyna. Okropne kaluże!

Ze słowackiego przełożył JERZY PLEŚNIAROWICZ

Zofia Szediwy Fundatorka pierwszej młodzieżowej biblioteki w Łańcucie



Zofia Szediwy

Dnia 5 sierpnia minęło 27 lat od śmierci Zofii Szediwy. Najstarszemu pokoleniu łańcuchan znana była dobrze: z jej rąk otrzymano oni jako uczniowie „szkoły ludowej” — pierwsze książki do czytania. Zastępowała to bardzo obywatelka dawnego Łańcuta.

Urodziła się w Krakowie w 1854 r., jako córka urzędnika „gubernium” Franciszka Ksawerego Szediwego, późniejszego starosty łańcuckiego. Matka jej Emilia była krakowianką, córką artysty-malarza Jana Nepomucena Głowackiego.

Mając lat osiemnaście — już mieszkając z rodzicami w Łańcucie — rozpoczęła szeroko zakrojoną pracę samokształceniową. Wiele czytała i uczyła się, korzystając nie tylko z bogatej rodzinnej biblioteki; była pilną czytelniczką założonej przed kilku laty w Łańcucie biblioteki Stowarzyszenia Oświaty „Mrówka”. Biblioteka ta posiadała obok beletrystyki wiele dzieł naukowych. Zofia czytała z zamiłowaniem dzieła historyczne, filozoficzne, przyrodnicze, historyczno-literackie; czytała pisma najwybitniejszych pisarzy, naszych i obcych. Dowody „szywej” pracy zachowały się w rękopisach streszczeń i opracowań imponującej ilości lektur.

Łańcut w drugiej połowie, a zwłaszcza w ostatniej ćwierci XIX wieku, tętnił żywym ruchem społecznym i kulturalno-oświatowym. Oprócz „Mrówki”, która służyła czytelnictwu, działał tu amatorski zespół teatralny, przyjeżdżały teatry objazdowe; na terenie zorganizowanej przez wybitnego działacza dr Kazimierza Kralczyńskiego Ochotniczej Straży Pożarnej powstała orkiestra pod batutą organisty Babuńskiego. Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” oraz Stowarzyszenie Mieszkańców „Gwiazda” współzawodniczyły i współdziałały w pracy społecznej i oświatowej. Działało Towarzystwo Pedagogiczne.

Zofia Szediwy interesowała się żywo ruchem kulturalno-oświatowym. Członkowie jej rodziny: dziadek, matka, ojciec brali udział

w pracach Rady Szkolnej Miejskiej, Towarzystwa Opieki nad Dziećmi, „Sokoła”. Często dyskutowano w domu na te tematy.

Entuzjastka czytelnictwa i pracy samokształceniowej ufundowała dla młodzieży szkolnej bibliotekę. Przez szereg lat w mieszkaniu własnym (ul. Świerczewskiego 32) wypożyczała dzieciom szkolnym i młodzieży pozaszkolnej książki do czytania; paręset książek treści historycznej, przyrodniczej, geograficznej, podróżniczej, obyczajowej przechodziło z rąk do rąk dzieci łańcuckich. W czasach kiedy nie było w Łańcucie nie tylko biblioteki młodzieżowej, ale miasto nasze nie posiadało księgarni, w której można by było kupić dziecku książkę do czytania, działalność Zofii Szediwy była dobrodziejstwem, była czynem patriotycznym.

W roku 1897 Zofia Szediwy przekazała swoją bibliotekę dziecięcej szkole ludowej łańcuckiej.

„Biblioteka szkolna — Łańcut” (taki napis ręką Zofii Szediwy położony posiadała każda książka) służyła najpierw owej 5-klasowej szkole mieszanej, później 6-klasowej do wybuchu I wojny światowej, w czasie której uległa zniszczeniu wraz z całym urządzeniem i zaopatrzeniem szkoły.

Zofia Szediwy była przez szereg lat honorową bibliotekarką szkolną i jeszcze w pierwszych latach bieżącego stulecia przychodziła do szkoły w oznaczone dni i godziny oczekiwana przez młodzież spragnioną lektury.

Kto z nas dawnych czytelników nie pamięta wzruszeń czytelniczych doznawanych przy lekturze książek otrzymanych z rąk Zofii Szediwy? Zaw sze serdeczny uśmiech, miłe słowo zachęty, wyjaśnienia towarzyszyły tym spotkaniom. Kto z nas nie pamięta skromnej, drobnej postaci Zofii Szediwy?

Zyla 84 lata. Zmarła 5 sierpnia 1938 roku.

JADWIGA BIENIASZ



ZBIGNIEW ZAREMBA — aktor Państwowego Teatru im. W. Siemaskowej w Rzeszowie. Rys. J. SIENKIEWICZ

Michelangelo Antonioni o swoich planach

Michelangelo Antonioni, który dotychczas w swych utworach poruszał problemy współczesne, oświadczył przedstawicielom prasy, że akcja jego przyszłego filmu rozgrywać się będzie w 2001 roku.

— Ponieważ improwizuję często w czasie zdjęć — stwierdził reżyser — nie mogę dokładnie określić, jaka będzie treść filmu. — Z dalszych informacji wynikało jednak, że w centrum uwagi znajdzie się i tym

razem sprawa stale absorbująca Antonioniego: stosunek jednostki do społeczeństwa.

W wywiadzie twórca nawiązał do swego ostatniego filmu, triumfatora zeszłorocznego festiwalu w Wenecji, „Czerwonej pustyni”. — Przypominam sobie, jak w czasie nakręcania „Czerwonej pustyni” jechałem z Rawenny w stronę morza. Rozciągała się przede mną droga, na której z jednej strony rosły pinie, a z drugiej wznosiły się nowoczesne domy, fabryki, stacje benzynowe. Pejzaż przemysłowy wydał mi się wówczas o wiele bardziej interesujący. Zieleni linia drzew była monotonna i nasuwała banalne skojarzenia z lasem, zwierzętami. A za murami fabryk widziałem ludzi z ich życiem, troskami, cierpieniami.

— Nie chciałem jednak bynajmniej przeciwstawić w „Czerwonej pustyni” światu cywilizacji przemysłowej świata natury, patriarchalnego, jak to sądzą niektórzy. Pragnąłem pokazać jedynie wpływ techniki na psychikę ludzi. Dlatego też zrealizowałem ten film na taśmie kolorowej. To przecież technika wprowadza w nasze życie intensywne, jaskrawe kolory, że wspomnę choćby tworzywa plastyczne.

Nowy film Antonioniego będzie również kolorowy. I tu również — podobnie jak w „Czerwonej pustyni” — poruszona zostanie sprawa przystosowania się ludzi do nowych

zdarzenia tygodnia

W Muzeum Ziemi Przemysłowej czynna jest wystawa ikon ze zbiorów własnych, obejmująca około 40 zabytków z okresu od XV do XVII w. Ekspozowane ikony pochodzą przeważnie z terenu ziemi przemyskiej. Ponadto na wystawie pokazano elementy strojów liturgicznych, krzyże cerkiewne, księgi i oryginalne kalendarze cerkiewne.

Ukazał się obszerny, 144 stronic H-czący, wybór materiałów z konferencji muzeów regionalnych z województw — Białegostoku, Kielc, Lublina oraz Rzeszowa — współpracujących ze sobą w dziedzinie kulturalnej.

Wśród materiałów opublikowanych przez organizatora konferencji — Muzeum w Lublinie, znajdują się m. in. referaty dr F. Błońskiego — dyrektora Muzeum Okręgowego w Rzeszowie i r K. Gottfrieda — dyrektora Muzeum w Jarosławiu, na temat doświadczeń i osiągnięć muzealnych placówek naszego regionu.

28 ubm. zespół Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej im. Wandy Siemaskowej w Rzeszowie wystawił premierę sztuki „Henryk VI na łowach” W. Bogusławskiego. Spektakl przygotowała Danna Blecherówna, scenografia Janusza Warpechowskiego, kierownictwo muzyczne Tadeusz Chachaj. Jest to jedna z czterech sztuk, przygotowanych przez rzeszowski teatr na 200-lecie sceny polskiej.

Premiera odbyła się podczas akademii, zorganizowanej z okazji Dnia Energetyka.

Wiersze Hemingwaya

Najbardziej skrytą pasją Ernesta Hemingwaya było pisanie wierszy. Wiedzieli o tym jedynie najbliżsi przyjaciele, m. in.: redaktor miesięcznika „Atlantic Monthly” — Robert Manning, który przeprowadził z nim wiele wywiadów.

Bezpośrednio po śmierci wielkiego pisarza, R. Manning złożył wizytę wdowie — Mary Hemingway, prosząc o pozwolenie zapoznania się z niepublikowanymi manuskryptami i znalazł wśród nich kilka wierszy pisanych do Mary podczas drugiej wojny światowej. Wiersze te, poświęcone, jak większość twórczości Hemingwaya sprawom miłości i śmierci, ukazały się niedawno w „Atlantic Monthly”.

Manning cytuje też niepublikowane fragmenty niektórych rozmów z pisarzem, które mogą rzucić światło zarówno na jego pisarstwo, jak też na sprawę domniemanego samobójstwa. Odezwując dolegliwości związane z naciśnięciem oraz tendencją do tycia,

Hemingway powątpiewał, czy pisarz może zachować zdolności twórcze będąc w złej formie fizycznej. „Odtuszczenie ciała może prowadzić do odtuszczenia umysłu. Gdybym wiedział odtuszczenie o duszy — kusilibym się nawet o stwierdzenie, że może ono doprowadzić do odtuszczenia duszy” — cytuje Manning fragment rozmowy.

Wytwórnia „Cedmon Records” wypuściła płytę, która zawiera nagranie przemówienia Hemingwaya wygłoszonego podczas wręczenia mu Nagrody Nobla, jeden z jego wierszy miłosnych i kilka parodi własnych utworów, które pisarz recytuje wysokim, nerwowym głosem. Jak stwierdziła Mary Hemingway, z wierszy autora „Komu bije dzwon” zebrałby się gruby tom, ale nie należy się spodziewać, aby w najbliższych latach zostały wydane. Większość z nich dotyczy bowiem osób żyjących i mówiące najogólniej — nie zawiera komplementów pod ich adresem.

Z papieżem na Monte Cassino

Taka już utrwaliła się tradycja, że papieże rzadko opuszczali Rzym, a tym bardziej Italię. Jeśli już do tego dochodziło, to najczęściej nie dobrowolnie, lecz przymusowo, pod presją władców, nieprzyjacień ustosunkowanych do papieżstwa. Papież Pius IX holdując tej tradycji ogłosił się nawet, po upadku państwa kościelnego i ucieczeniu Rzymu do Królestwa Włoskiego w roku 1870, „więźniem Watykanu”. Do końca życia nie wychodził poza strefę swego pałacu i teren bezpośrednio przyległy do Bazyliki św. Petra. Jego następcy zachowywali się identycznie. Dopiero Jan XXIII przerwał tę starą, utwierdzoną przez Piusa IX tradycję, i nie tylko swobodnie poruszał się po całym Rzymie, ale udał się na przykład w charakterze pielgrzyma do Asyżu, gdzie papieża nie oglądano od wieków.

Paweł VI jakkolwiek nie jest konsekwentnym kontynuatorem reformatorskiej działalności Jana XXIII, to jednak po swym poprzedniku w całej pełni przejął chęć podróżowania.

W czasie trwania trzeciej sesji Soboru ogłoszono, że Paweł VI uda

się w dniu 24 października do klasztoru na Monte Cassino i dokona tam uroczystej konsekracji zrujnowanego w czasie wojny, a obecnie całkowicie odbudowanego klasztoru benedyktyńskiego. Zapowiedziano przy tym, że papież odbędzie podróż helikopterem, który wystartuje z małego lotniska watykańskiego i wyląduje u bram klasztoru.

Na Monte Cassino pojechałem rankiem autokarem Biura Prasowego Soboru wraz z grupą dziennikarzy polskich i zagranicznych. Program pobytu Pawła VI na Monte Cassino poza uroczystą konsekracją klasztoru przewidywał odwiedzinę cmentarza żołnierzy polskich. Papież przybył do klasztoru z pewnym opóźnieniem, z powodu złych warunków atmosferycznych nie mógł odlecieć helikopterem i odbył podróż samochodem.

Po odprawieniu nabożeństwa i dokonaniu uroczystej konsekracji klasztoru Paweł VI wygłosił przemówienie. Było ono poświęcone niemal wyłącznie sprawie pokoju. Opactwo benedyktyńskie na Monte Cassino — mówił papież — sym-

bolizuje zarówno grozę wojny, jak i dobrodziejstwo pokoju. Dziełem wojny było całkowite zniszczenie klasztoru, dziełem zaś pokoju jego całkowita odbudowa.

Kilka sformułowań papieża wzbudziło jednak poważne wątpliwości. Powiedział on m. in.:

„Wydaje się nam wciąż nie do wiary, że akt wojny został popełniony przeciw temu opactwu. Monte Cassino zostało zbombardowane i zburzone. W ten sposób dokonano jednego z najsmutniejszych epizodów wojny. Nie chcemy być obecnie sędziami tych, którzy to spowodowali. Nie możemy jednak nie opłakiwać, że ludzie cywilizowali ośmielili się uczynić z grobu św. Benedykta cel bezlitosnej przemocy”.

Papież nawiązywał tutaj do słynnego nalotu bombowców angielskich i amerykańskich w dniu 14 lutego 1944r., w wyniku którego opactwo zostało doszczętnie zbombardowane i prawie zrównane z ziemią. Zbombardowanie klasztoru Paweł VI określił ponadto jako „grzech ciężki”.

Paweł VI krytykuje więc posunięcie militarno-operacyjne lotnictwa alianckiego. Czyżby zapomniał, że nie opactwo jako takie

było celem anglo-amerykańskiego ataku bombowego, lecz silne fortyfikacje wojsk hitlerowskich, które przekształciły klasztor w twierdzę wojenną?

Wypowiedź papieża wywołała zrozumiałe zdziwienie. Już po cząwszy od dnia następnego ukazywać się zaczęły liczne publikacje prasowe, w których cytowany fragment przemówienia Pawła VI poddawany był krytyce. Szczególnie poruszeni byli uczestnicy bitwy pod Monte Cassino, walczący oczywiście, po stronie alianckiej. Charakterystyczny był głos dr Lawrence Kalema, z III dywizji wojsk amerykańskich, walczącej w strefie Monte Cassino, który na łamach „New Herald Tribune” pisał:

„Dlaczego dopiero tak późno Watykan zaczął się interesować okrucieństwami wojny? Dlaczego nie było słychać Watykanu, kiedy Niemcy nazistowskie i faszystowskie Włochy przygotowywały drugą wojnę światową i kiedy każdy inteligentny człowiek wiedział, że nadciąga straszna katastrofa? Dlaczego nie było słów protestu przeciw „grzechowi”, kiedy pracowały

dzień i noc komory gazowe i piece w nazistowskich obozach koncentracyjnych? „Grzech”? Tak, wojna jest grzechem, ale nie jest nim bombardowanie klasztoru, który był punktem obserwacyjnym i twierdzą uroga...”

Papież przypominał również w swoim przemówieniu, że w czasie wojny należał do bliskiego otoczenia Piusa XII i był świadkiem starań i wysiłków Stolicy Apostolskiej, aby uchronić opactwo od bombardowania. Ciśnięcie się tutaj pytanie, dlaczego Pius XII i jego współpracownicy nie podjęli starań, aby przeszkodzić hitlerowcom w przekształceniu klasztoru w twierdzę i dlaczego w ogóle nie protestowali przeciwko faszystowskim zbrodniom wojennym? I jak w takim razie ocenia papież bohaterstwo żołnierzy polskich poległych pod Monte Cassino, którzy przeciw szturmowali klasztor i, oczywiście, przyczynili się do jego zniszczenia?

Z odwiedzin cmentarza żołnierzy polskich Paweł VI zrezygnował, wbrew pierwotnej wersji programu wizyty na Monte Cassino. Spod klasztoru samochodem orszak papieski udał się wprost do Rzymu.

STANISŁAW MARKIEWICZ